

Prof. Stanisław S. Nicieja: kanon polskości leży na dawnych Kresach, część 2

Profesor Stanisław Sławomir Nicieja wydał właśnie dziewiętnasty tom swojej naukowej epopei - „Kresowej Atlantydy”. Z tej okazji odwiedziliśmy go, by w obecności jego małżonki porozmawiać o jego życiu, źródłach kresowej pasji, przyjaźniach i trudnych chwilach

Bolesław Bezeg

Panie Profesorze, gdy Pan spaceruje po Lwowie, to jakie uczucia Panu towarzyszą? Smutek, nostalgia za tą Polską, która była taka, jak Pan opowiedział, czy jednak radość. I korzysta Pan z tego

- Spędziłem wiele miesięcy na samym Łyczakowie. I tam uległem fascynacji. W ogóle lubię cmentarze, a ten, lwowski był i jest swoistym fenomenem - parkiem, a zarazem muzeum na wolnym powietrzu, z pięknymi rzezbami i poetyckimi epitafiami sławiącymi wielkie postacie tam spoczywające. Na tej nekropoli wykonałem 12 tysięcy zdjęć swoim aparatem Zenit. Wyjeżdżając ze Lwowa, musiałem je wywołać, gdyż na granicy sprawdzano, co jest na zdjęciach. Praca na tym cmentarzu wiele mnie nauczyła, gdyż ocierałem się tam o wielkich artystów, rzeźbiarzy, poetów, mistrzów sztuki kamiennarskiej i ogrodnictwa. To piękne miejsce, i to mnie związało ze Lwowem. Spędziłem tam długie miesiące, bo książka o Łyczakowie nie powstała z dnia nadzień. To jest najważniejsza książka mojego życia - jest i będzie wznawiana. Przy jej pisaniu posłużyłem się metodą, która się sprawdziła. Książka napisana jest tak, że czyta się ją dobrze i z pożytkiem. Jest w niej nie tylko katalog nazwisk wielkich Polaków, ale też omówiona została symbolika nagrobków, zacytowane piękne mowy wygłoszone podczas pogrzebów oraz przywołano wiele anegdot o zmarłych, nie tylko związane z ich barwnym i częstokroć dramatycznym życiem.

Moja fascynacja kamiennymi tablicami epitafijnymi zapisującymi pamięć o ludziach, a co za tym idzie także cmentarzami, zrodziła się w rodzinnym miasteczku. Pierwsze kilkanaście lat mego życia przeżyłem w Strzegomiu, a tam jest bazylika - jeden z największych kościołów na Śląsku. Szlachta śląska i niemiecka pozostawiła tam po sobie epitafia - piękne, bogate płaskorzeźby nagrobne. W tym kościele spędziłem w dzieciństwie wiele czasu, tam też by-

łem chrzczony, bierzmowany, tam brałem ślub.

Znajdujące się tam rzeźby i tablice epitafijne patrzyły na mnie z każdego filara i niemal z każdej ściany tego kościoła. Gdy pierwszy raz znalazłem się we Lwowie i zobaczyłem majestat tamtych pomników nagrobnych, wiedziałem, że muszę to opisać. Później, kiedy odniosłem sukces książką o tym cmentarzu, przypisywano mi, że wyczułem koniunkturę polityczną. Nic bardziej błędnego. Było wprost odwrotnie. Gdy na uczelni powiedziałem, a był to rok 1978, że chcę napisać książkę o cmentarzu, pukano się w głowę. Co to za temat? - mówiono mi. Kto to będzie czytał? Gdybym tych opinii posłuchał, nie byłoby tej książki. Gdy minęło dziesięć lat od mego postanowienia i w Polsce pękła cenzura, to okazało się, że trafiłem na belkę, która mnie jak na trampolinie odbiła. Bo książka o Łyczakowie w 1988 roku, kiedy już był schyłek PRL-u, wyszła w nakładzie ćwierć miliona egzemplarzy. Była rozchwytywana. W księgarniach ustawiła się kolejki. Stało się tak szczególnie po wypowiedzi Jerzego Waldorffa 4 października 1988 roku (w dniu moich urodzin) w głównym wydaniu dziennika telewizyjnego. Powiedział on wówczas: „Młody człowiek z Opola, z tamtejszej uczelni napisał książkę o cmentarzu we Lwowie, który jest równie ważny w polskiej kulturze i historii, jak cmentarz Powązkowski w Warszawie, o którego renowację od lat zabiegam. Kupcie tę książkę, bo na tym lwowskim cmentarzu są zadziwiające dzieła sztuki”. I po tej wypowiedzi zaczęło się szaleństwo z zakupem mojej książki, którą trzeba było na gwałt dodrukowywać. Była rozchwytywana. Na giełdzie osiągała dziesięciokrotne przebicie cenowe. Prof. Janusz Tazbir - jeden z najważniejszych wówczas polskich historyków napisał w „Polityce”: „jest to książka zjawia, bo wszyscy o niej mówią, a niewielu ją widziało,



Profesorowie Norman Davies i Stanisław Nicieja przed Pomnikiem Lotników Polskich poległych w Wielkiej Brytanii, rok 1990

gdyż znika błyskawicznie z księgarni”. I nagle ja, chłopak z Opola i Strzegomia, stałem się - mówiąc dzisiejszym językiem - celebrytą, z dnia na dzień powszechnie znanym w Polsce. Pojawiłem się w wielu audycjach telewizyjnych, a nawet w Polskiej Kronice Filmowej wyświetlanej w kinach przed projekcją filmów. Udzieliłem dziesiątki wywiadów radiowych i prasowych - od Radia Wolna Europa w Monachium po radiowęzeł Fabryki Lokomotyw „Fablok” w Chrzanowie. Miałem setki spotkań autorskich - od Klubu Księgarza na warszawskiej Starówce po Bibliotekę Polską w Paryżu i Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie. Myślę, że wówczas powstał fundament do moich zainteresowań Kresami. Był to też czas początków wielkich przyjaźni, którymi dobry los mnie obdarował. To dzięki książce o Łyczakowie i jej fe-

nomenalnej recepcji mogłem gościć w domach tak wybitnych postaci, jak choćby Stanisław Lem, Ryszard Kapuściński, Adam Hanuszkiewicz, Jerzy Janicki, Andrzej Hiolski, Kazimierz Górski, Wojciech Kilar. Moja książka była przez wielu z nich recenzowana bardzo pozytywnie. Gdy bywam we Lwowie, to zawsze wsiadam w tramwaj „siódemkę” i jadę na Cmentarz Łyczakowski. I mogę bez końca wędrować jego alejkami. Pokochałem Lwów z jego muzeami, w których wiszą obrazy Matejki, Grotgera i Malczewskiego, teatr lwowski wzniesiony według projektu polskiego architekta Zygmunta Gorgolewskiego (ze słynną kurtyną Henryka Siemiradzkiego, wspaniałym westybulem i freskami przedstawiającymi sceny z głównych polskich sztuk teatralnych: od „Odprawy posłów greckich” Jana Kochanowskiego po „Zemstę” Aleksandra Fredry), piękne budynki

uniwersytetu i politechniki (z fascynującymi aulami i gabinetami rektorskimi). Lwów nauczył mnie, jak należy cenić architekturę, urodę budynków i przyrodę miejską. Tam, szczególnie w XIX wieku, w okresie słynnej belle époque, był kult dobrej roboty. Lwów miał wówczas wielu mądrych, wizjonerów, którzy zamienili to miasto w „mały Wiedeń” - nadali mu charakter, a miejscowi artyści stworzyli jego legendę, która niosła wysoko polską kulturę i to w czasach, kiedy państwa polskiego nie było na mapie Europy. Nie było państwa polskiego, a Lwów miał polskie muzea, teatry, biblioteki, uniwersytet, szkoły, a nawet słynną „Panoramę Ractawicką” - z gigantycznym malowidłem, na którym polscy kosynierzy rozprawiają się z rosyjskim najeźdźcą. Lwów był wtedy miastem uważanym za duchową stolicę Polski, bo o takiej swobo-

dzie nie można było marzyć w Warszawie, Wilnie czy Poznaniu. Tam język polski był tępiony, a we Lwowie był w rozkwicie. Na uniwersytecie wykładali historię tak wybitni historycy, jak Szymon Askenazy czy Oswald Balzer, a literaturę polską Antoni Małlecki czy Juliusz Kleiner. Było to miasto, w którym gościł genius loci. Rodzili się i wyrastali wielcy ludzie, niejednokrotnie wyposażeni w genialne talenty.

Ale czy ten genius loci jeszcze tam jest?

- Jeden z najważniejszych tekstów, jaki napisałem, nosi tytuł „Pośmiertne życie polskiego Lwowa”. Powstał on z inspiracji i na zamówienie Jerzego Giedroycia - redaktora naczelnego paryskiej „Kultury”. W liście do mnie Giedroyc napisał: „Po lekturze Pana ciekawej książki o cmentarzu we Lwowie i widzę, że wie Pan dużo o tym mieście, i o tym, jak zaważyło ono na historii Polski. Ale czy mógłby Pan napisać do moich „Zeszytów Historycznych” o tym, co się stało z tym Lwowem po 1945 roku: czy to miasto zapadło się pod ziemię, czy przestało istnieć, co stało się z tamtą ludnością, z tamtymi muzeami, bibliotekami, budynkami”. Chyba moim tekstem zadowolili Jerzego Giedroycia, bo szybko go opublikował w Paryżu. Napisałem w tym artykule jak doszło do wymiany po 1945 roku polsko-żydowsko-ormiańsko-ukraińskich mieszkańców Lwowa na dość jednorodną ludność: ukraińsko-rosyjską, czy o zamianie języka - z polskiego do 1945 roku na ukraiński i rosyjski po ekspulsji Polaków. W swoim wywodzie posłużyłem się swoistą metaforą, że jeżeli przyjmiemy, że miasto z swoimi budynkami, świątyniami, ulicami, parkami i dzielnicami mieszkaniowymi stanowi jakiś korpus zewnętrzny, a ludzie, którzy swą obecnością wypełniają te budynki, świątynie, ulice, parki, to krew pulsująca w organizmie miejskim, to w 1945 roku miasto Lwów przecięto żyły



Z Jerzym Giedroyciem w Maisons-Laffitte Halina i Stanisław Niciejowie. Fot. prof. Henryk Ratajczak z Wrocławia



Spotkanie na Cmentarzu Łyczakowskim z merem Lwowa Andrijem Sadowym. Fot. Jerzy Oleszkowicz z Rzeszowa



Spotkanie autorskie prof. Stanisława Niciei w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Z prawej Leszek Talko – dyrektor Biblioteki, z lewej prof. Henryk Ratajczak – ówczesny dyrektor Instytutu Polskiego w Paryżu

i wypompowano dawną, polską krew. Przeprowadzono gigantyczną transfuzję. Wypompowano polską krew, a w jej miejsce wpuszczono krew ukraińską. Przedwojenni lwowiaczy trafili po wojnie głównie do trzech polskich miast: Wrocławia, Gliwic i Bytomia. Oczywiście wszędzie można było spotkać lwowian, ale w największej masie w tych trzech wymienionych miastach. Inteligentni lwowianie osiadł głównie we Wrocławiu, bo tam trafiła kadra uniwersytecka, politechniczna, lwowskie Ossolineum, a w końcu i „Panorama Racławicka”. Trzeba pamiętać, że w Opolu też osiadło wielu lwowian, którzy odegrali tu częstokroć wybitne role. Dla przykładu: kilku rektorów Wyszkiej Szkoły Pedagogicznej miało korzenie lwowskie: Stanisław Kolbuszewski, Maurycy Horn, Tadeusz Gospodarek. Gdy pisałem swoją pracę o cmentarzu na Łyczakowie, Lwów był już miastem, w którym dominował język ukraiński. Wyrastała tam inteligencja ukraińska, ale nie było wśród niej zbyt dużo postaci rezonujących daleko poza tę społeczność. Lwów stał się prowincjonalny. Wybitniejsi wyjeżdżali do Kijowa, Charkowa, Odessy. Ale nie mam tutaj zbyt dokładnego oglądu, aby stawiać stanowczą diagnozę. Pojawiają się tam co pewien czas postaci, które nabierają formatu o znaczeniu ogólnoukraińskim. Ważna postać na obecnym Uniwersytecie Lwowskim jest prof. Jarosław Hrycak. Należy też wymienić bywającego często we Lwowie, a pochodzącego z Iwano-Frankiwka (Stanisławowa), wybitnego ukraińskiego prozaika Jurija Andruchowycza. We Lwowie mieszka też wybitny historyk sztuki - Jurij Biriulow.

Czy w dzisiejszym Lwowie znajduje Pan jeszcze Polaków?

- Tak, po wojnie we Lwowie, nie dając się wysiedlić, zostało kilku wybitnych Polaków. Jednym z nich był prof. Mieczysław Gębarowicz - ostatni polski dyrektor Osso-

lineum. Był w swoim postawieniu niezłomny. Kiedy niemal wszyscy wyjeżdżali, on powiedział: „Ja zostaję!”. Nie namawiał innych, aby poszli w jego ślady, bo znał skalę niebezpieczeństwa dla tych, którzy zostawali. Mówił: „Jestem samotny. Nie mam rodziny. Mogę sobie na to pozwolić”. Został też wówczas prof. Henryk Mosing, hrabina Janina Zamoyska, siostry Jadwiga i Irena Zappe, prof. Maria Tarnawska, ks. Rafał Kiernicki - późniejszy biskup, trochę polskich nauczycieli, m.in. Jan Rogala, dr Irena Pelczarska. O tych, którzy zostali i ich powojennych losach w radzieckim Lwowie znakomitą książkę napisała Anna Fastnacht-Stupnicka, która przez pewien czas była w Opolu redaktorką „Nowej Trybuny Opolskiej”. Gdy jako młody doktorant przyjeżdżałem do Lwowa w latach 70. XX wieku, to oni jeszcze żyli. Przyjmowali mnie serdecznie. Otworzyli przede mną domy i pomagali w zbieraniu materiałów do książki o Łyczakowie. Oni mnie zaakceptowali, mimo że początkowo byli nieufni, rozpytując, kto to jest ten Niciej, kto go tu przysłał, czy to aby nie jakiś agent służb. Myślę, że glejt wiarygodności dał mi wówczas prof. Mieczysław Gębarowicz, uważany wówczas za „papieża Polaków we Lwowie”. Wystawił mi dobrą opinię i rozwiął podejrzenia, że jakiś Polak z PRL-u coś tu dokumentuje w niewiadomym celu. Myślę, że Gębarowicz - dzięki swemu wewnętrznemu rentgenowi - dostrzegł we mnie badacza a nie agenta i widział sens mej pracy organicznej. To głównie Gębarowicz, Mosing i ks. Kiernicki bardzo mi pomogli w tamtej epoce Breżniewa, kiedy Polacy bardzo się bali prowokacji. Usłyszałem wówczas opinię od jednego z moich lwowskich rówieśników, że Gębarowicz miał powiedzieć w jakimś towarzystwie o mnie: „To jest facet, z którym można rozmawiać!”. To było bardzo ważne. Nie wiem, czy bez tej akceptacji polonusów we

Lwowie w latach 70.-80. mogłaby powstać moja książka. Mogę powiedzieć, że miałem szczęście do ludzi. Los dawał mi wielkie przyjaźnie - niekonunkturalne, trwale, ponadczasowe. To jest wielkie moje szczęście. Poznałem wówczas we Lwowie Zbigniewa Chrzanowskiego - dyrektora teatru polskiego. Bywałem na jego spektaklach, zaprzyjaźniłem się z jego gronem aktorskim, m.in. z Janem Tyssonem - wnukiem wybitnego lwowskiego architekta Jana Sasa-Zubrzyckiego. Tysson w wolnych chwilach w tajemnicy odnawiał polskie nagrobki na Cmentarzu Łyczakowskim i podrzucał mi ikonografię do mojej książki. We Lwowie poznałem też liczne grono przewodników-Polaków, m.in. małżonków - Jadwigę i Jurija Smirnowów, ona Polka, on Rosjanin - spolonizowany, zafascynowany językiem i kulturą polską, jeden z najbardziej płodnych publicystów w wychodzącym dziś na Ukrainie polskojęzycznym „Kurierze Galicyjskim”. Poza wymienionymi z nazwiska Polakami we Lwowie, którzy stanowili rdzeń tamtejszej polskiej inteligencji, zdecydowana większość była ze-pchnięta na niskie pozycje społeczne. Polacy mieli wówczas utrudniony awans. Spotykałem więc Polki i Polaków jako szatniarzy na uniwersytecie, w Ossolineum czy w kawiarniach, kucharki w stołówkach studenckich i w barach. Polacy mieli ograniczone możliwości w obejmowaniu ważnych funkcji kierowniczych w radzieckim Lwowie. Gdy więc po transformacji politycznej, po upadku ZSRR powstała możliwość wysyłania dzieci na studia do Polski, taki proces nastąpił dość masowo. Początkowo dość naiwnie sądzono, że po ukończonych studiach wrócą oni do Lwowa i będą tworzyć nową polską inteligencję. Tak się niestety nie stało. Młodzież zostawała w Polsce. Tu zawierała małżeństwa, tu - mając lepsze warunki do życia - wtapiała się w polskie społeczeństwo. Przykładem jest tak patriotyczna rodzina, jak Smirno-

wów, których dzieci mieszkają już w Warszawie. Lwów w dużej mierze w ostatnich latach został opuszczony przez Polaków tam mieszkających. Natomiast w Polsce zapanała wielka moda na zwiedzanie Lwowa. Były czasy, że do tego miasta jechał z Polski autokar za autokarem z turystami chcącymi zwiedzić zabytki tego miasta. Pomagała temu relacja korzystnej wymiany złotówek na hrywien oraz to, że Lwów - po mizerii lat sowieckich - nabrał jako miasto cech metropolii, odnowiono jego sieć hotelową i restauracyjną. Wypiękniał, ożyły parki i kawiarnie. Miasto poczęło żyć do późnych godzin nocnych. Tętniło, pulsowało tu życie podobnie jak we Wrocławiu czy Krakowie. A sentymenty potomków dawnych kresowian ciągnęły ich na ten szlak, a szczególnie do Lwowa, który stał się swoistą stolicą polskich Kresów. Odbudowano (dzięki wielkiej determinacji Polaków) Cmentarz Orłąt, który stał się magnesem dla tysięcy pielgrzymów z Polski. We Lwowie zaczęły ukazywać się polskie pisma, m.in. „Spotkania Lwowskie”. Wojna spowodowała, że nie jeżdżę teraz do Lwowa, ale mam nadzieję, że gdy się skończy, wrócę do tego miasta i odwiedzę moich lwowskich przyjaciół. Druga sprawa, która powoduje, że mniej jeżdżę teraz na Kresy, to bardzo intensywna praca nad kolejnymi tomami „Kresowej Atlantydy”. Mam z tej pracy wielką satysfakcję, ale to jest też moja katorga, a także mojej żony - Haliny i mego wydawcy - Bogusława Szybkowskiego. Udaje nam się od dziecięciu lat utrzymać rytm: dwa tomy co roku. Książki dobrze udokumentowane i zilustrowane. A to łatwo nie przychodzi. Mogę powiedzieć, że każdy tom to swoisty mój nowy doktorat - tak byłby traktowany przez komisję, przed którą bym je bronił. Bo poszczególne tomy oparte są na bardzo mocnych archiwaliach i szerokiej literaturze przedmiotu. A więc napisać dziś doktorat w ciągu pół roku to, jest nie tylko sztuka, ale

przede wszystkim wielki wysiłek. To, że mi się to udaje, wynika z doświadczenia i warsztatu naukowego, którego dorobiłem się w ostatnim trzydziestolecium. Często przy pisaniu czuję udrękę i mówię sobie: skończę ten tom i robię długą przerwę, długi, beztrudny wypoczynek. Nie wykonuję tego postanowienia. Wiąże się to z przekonaniem, muszę pracować, by zdążyć zapisać historię wielu moich rodaków, którzy odchodzą. A wiedza o tym, czego byli świadkami, co tam zrobili, co tam zostawili odchodzi często wraz z nimi. Mam przeświadczenie, że moja „Kresowa Atlantyda” staje się faktem kulturowym, że poszczególne tomy o kolejnych kresowych miejscowościach i ludziach z nimi związanych, to nie są książki jednorazowego użytku, po przeczytaniu których nie wraca się do nich. Tak często bywa z poczytymi kryminałami - przeczytałem, znam finał, wiem kto zabił więc nie muszę wracać do tej lektury. Mam przekonanie, że to, co udaje się opublikować, będzie miało walor ponadczasowy, że będzie wzbogacało na trwałe historię naszego narodu, naszej bytności na Kresach i zapis naszych śladów, które tam zostawiliśmy. Podzielał opinię Macieja Janowskiego, że „historyk pracuje w słowie, tak jak rzeźbiarz w marmurze”. Mój przyjaciel Adam Wierciński przysłał mi fragment wypowiedzi świętego eseisty Jerzego Jędrzejewskiego, twierdzącego, że „talent literacki jest niezbędną cechą historyka; kto go nie ma, może zajmować się edytorstwem źródeł, pracami pomocniczymi historii, ale historykiem być nie może”. Nieskory do komplementów Adam Wierciński powiedział: „Jesteś historykiem”.

Panie profesorze proszę powiedzieć kilka słów dla pana fanów, dla tych którzy przychodzą na te spotkania.

- Spotkania autorskie, których dotychczas miałem na pewno kilkaset - w Polsce, na Ukrainie, na Białorusi i Litwie,

w Paryżu, Londynie, a nawet w Perth w Australii, to jest dla mnie tlen. Tam zdobywam główną motywację, aby pisać i materiały bardzo osobiste od czytelników, bez których te książki nie mogłyby powstać w takim wymiarze i z takim rezonansem społecznym. Na tych spotkaniach również nawiązuję bezpośrednie kontakty z czytelnikami, które inicjują korespondencję listowną i mailową. Moja żona, która panuje nad moją pocztą mailową, codziennie odbiera od kilku do kilkunastu różnych informacji z nowymi fotografiami, faktami, rodzinnymi opowieściami i anegdotami. Wszystko to jest drukowane, a następnie rozdzielane do poszczególnych zespołów dokumentów i stanowi później podstawę do pracy nad kolejnym tomem. To chyba wyróżnia mnie spośród setek polskich zawodowych historyków, że bazuję nie tylko na literaturze, którą mam w zasięgu mojej biblioteki uniwersyteckiej, na materiałach archiwalnych z głównych polskich archiwów, ale przede wszystkim bazuję na archiwach domowych rzadko wykorzystywanych przez zawodowych historyków, a czasem nawet przez nich lekceważonych. To, że otworzyły się przede mną archiwa rodzinne, to jest też następstwo moich licznych spotkań autorskich, bo dzięki nim zyskałem zaufanie czytelników i wiarę, że nie wykorzystam ich opowieści rodzinnych w złym celu. Doznałem od czytelników - i to z różnych pokoleń - wielkiej wdzięczności i to jest budujące, bo wiem, że moje książki nie trafiają w próżnię, że mają oddanych czytelników, a nawet licznych kolekcjonerów, którzy zgromadzili wszystkie tomy (19) „Kresowej Atlantydy”. Kiedyś Witold Gombrowicz, zazdroszcząc Henrykowi Sienkiewiczowi wielkiej poczytności, powiedział: „Nie sztuka napisać książkę, sztuką jest, żeby ktoś chciał ją przeczytać i co pewien czas do niej wracać”. Mam wrażenie, że taki los spotyka teraz moją „Kresową Atlantyde”.